Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 11. Grudnia 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 50.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . kwartalnie 6 m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

ZEFIREK

OBRAZEK Z ŻYCIA KOBIET

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ

(Ciąg dalszy)

Śniegi spadły i biegnącej przez ulicę malutkiej osóbce, nie gorąco być musiało w szczupło watowanej algierce, którą miała na sobie, a jednak, okrągła twarz jej wyglądała jak czerwone jabłuszko, a małe oczki błyszczały jak czarne paciorki. Migotały one na przemian trwogą i łzami; od chwili do chwili załamywała ręce i z cicha do siebie jęczała.

— O! Boże mój, Boże! czyż to prawda? czy to być może?

Wpadła w dziedziniec i jak strzała puściła się ku mieszkaniu Żyrewiczowej.

— Pani moja! - wołała już we drzwiach; — nie wytrzymam... ledwie żyję... skończenie świata... Staś... Staś... ten Stasieczek...

Upadła na kanapkę z załamanemi rękami i osłupiałym wzrokiem. Żyrewiczowa zerwała się od fortepianu, na którym z silnem akcentowaniem miejsc rzewnych i melodyjnych wygrywała jakiegoś walca.

— Staś! co się stało ze Stasiem? zachorował? umarł?

— Nie, nie, nie! Dwa tygodnie temu sprzedał Żyrewicze i wyjechał gdzieś daleko, aż na Białoruś, czy co, do jakichś krewnych...

— Wyjechał!

— Wyjechał!

— Jakto, zupełnie? zupełnie?

— Zupełnie... zupełnie.

— Jakto, bez pożegnania?

— Otóż to, otóż to, otóż to i boleśnie! bez pożegnania!

Żyrewiczowa skamieniała na chwilę, w oczach jej zakręciły się łzy.

— Nie wierzę — zawołała nagle — jakto? on by się miał nie pożegnać zemną, zemną... kiedy mówił mi tak niedawno jeszcze, że jestem jego *ange consolatrice*. Nie wierzę, kto ci to mówił?

— Na mieście! na mieście! na mieście! wszyscy znajomi moi i jego mówili... odnosiłam profitki i podstawki... mówili, że najpewniej.

Żyrewiczowa usiadła na kanapce i zadumała się długo, smutnie. Rozalja ocierała sobie łzy z oczu i twarzy. Po kilku minutach zaledwie wdowa z cicha przemówiła.

— A nasze kapitaliki?

— Ach! — porwała się Rozalja — zapomniałam! to prawda! cóż będzie z tymi kapitalikami i tymi procentami? O Boże! mama zmartwi się bardzo... co tu robić? u kogo teraz upominać się? Chodźmy do mamy...

— Poczekaj pani... a nie słyszałaś jak to było? co? dla czego? zkąd ten nagły wyjazd...

— At! — skinęła ręką Rozalja — albo to ludziom wierzyć można? Zwyczajnie, teraz już takie plotki... mówią, że Staś temi pieniędzmi, które wziął od mamy miał rzeczywiście dług jakiś spłacić a potem las, czy co tam takiego sprzedać i majątek oczyścić, ale nazajutrz potem jak mu mama pożyczyła, pieniądze te przegrał...

— Co? jakto przegrał? w karty?

— W karty. Mówią, że w karty! I już długu opłacić nie mógł, i sprzedać czegoś tam nie mógł i tylko majątek cały sprzedał...

— To plotki, fałsz, kalumnia! — wykrzyknęła wdowa. — On! ta wzniosła dusza... tak poziomo! nie, to być nie może. W tem jest jakiś dramat, jakiś fatalizm, coś tragicznego, coś... coś... takiego...

— Chodźmy do mamy. Mama da może sposób dowiedzenia się prawdy. Mama wszystko wie co może być a co nie może być. Chodźmy.

Poszły. I gdy z mnóstwem wykrzyków, omówień, twierdzeń i przeczeń, westchnień i łez opowiedziały pani prezydentowej wszystko, o czem wiedziały same, p. prezydentowa — zdrętwiała. Wyprostowana jak struna, roztworzyła usta, na szalu francuskim szeroko rozpostarła palce i tylko powieki jej, nad siwą, szklistą źrenicą mrugały prędko, prędko.

Rozalja z przestrachem rzuciła się do niej.

— Mamie niedobrze.

Obudziła się z chwilowego osłupienia i rozkazującym gestem, córkę od siebie usunęła.

— Niech Rózia poda mi salopę i ciepłą chusteczkę na głowę — rzekła zwykłym już sobie, pewnym i suchym głosem.

Z trudnością jednak wstała z fotelu; Rozalja podawała jej salopę i chusteczkę.

— Gdzie mamcia pójdzie? dziś bardzo zimno...

Wskazała palcem dom, w którym mieszkał adwokat.

— Od niego dowiem się, co prawda a co nieprawda. On wszystkich obywateli i interesa ich zna...

— Ja z mamcią pójdę.

— Nie trzeba... Mogą tam być mówione takie rzeczy, o których pannom słuchać nie wypada.

W salopie, która plecom jej nadawała pozór stary i przygarbiony, z nieodstępnym kijem swym w ręku, szła przez dziedziniec powolniejszym niż zwykle i daleko mniej zamaszystym krokiem. Dwie pozostałe kobiety, w trwodze i milczeniu powrotu jej oczekiwały. Wróciła prędko, w

kwadrans może po wyjściu i chciała sama rozpiąć i zdjąć salopę, ale — nie mogła. Ręce jej trzęsły się i głowa nawet, tak dumnie zazwyczaj na sztywnej szyi osadzona, trzęsła się także.

— A co mamo? — rozbierając ją, szepnęła Rozalja.

Ostro i krótko odpowiedziała:

— Prawda, wszystko prawda.

— Wyjechał więc? — zawołała Żyrewiczowa.

Nie było odpowiedzi.

— A nasze kapitaliki? — zapytała ciszej.

— Przepadły — głucho odpowiedziała stara, która już na swym fotelu usiadła i z głową o tylną poręcz opartą patrzała w sufit.

Wdowa zbladła bardzo. Przed oczami jej mignęło widmo nędzy.

— Jakże to — zaczęła drżącym głosem — pani prezydentowa miała obligi i kartki od Stasia.

Łopotnicka oderwała głowę od poręczy fotelu i spojrzała na nią przeszywającym wzrokiem.

— Obligi! — zawołała — a kto je pisał? Notarjusz... Ickiewicz jakiś!... Jakiż walor mogą mieć dokumenta przez jakiegoś Ickiewicza pisane? Co tacy Ickiewicze i cały ten teraźniejszy motłoch zrobi, to... to... to... to... nigdy waloru żadnego mieć nie może. Otóż to... to... to... to i bieda, że Ickiewicze nad nami zapanowali, a Żyrewiczowie Bucikowskim majątki swoje sprzedawać muszą. Sprzedał Żyrewicze Bucikowskiemu, a kto o tej sprzedaży nie wiedział, ten i stracił to, co na Żyrewiczach miał. Bucikowski choć Żyrewicze wziął, nie wypłaci pewnie... ten... ten... ten... ekonomczuk!

Oparła znowu głowę o poręcz i zaczęła patrzeć w sufit. Palce jej spazmatycznie mięły brzeg francuskiego szala, a wargi zwarły się tak silnie, że z profilu, widać było tylko pod czołem wysokiem i zmiętem w mnóstwie zmarszczek, dwie ostre i zbliżające się ku sobie linie nosa i brody. Tak przesiedziała do późnego wieczora i do córki nie przemówiła ani słowa, wtedy nawet, gdy ta, z twarzą zbrzękniętą od płaczu, postawiła przed nią stoliczek ze szklanką herbaty i gorąco, długo całowała ją w obie ręce. Gdyby nie oczy rozwarte szeroko i szklisto patrzące w sufit, możnaby sądzić, że spała lub była zemdloną. Nad wieczorem zaczęła z cicha coś mruczeć do siebie. Rozalja bacznie wsłuchując się dosłyszała tylko słów kilka. — Licho wie co? syn obywatelski...

A potem.

— Dziecku nic nie zostawię... robótki... tylko... robótki...

Przed północą wstała z fotelu i powiedziała Rozalji, aby ją rozebrała. Daremnie jednak córka po kilka razy zapytywała ją, jak się czuje? i czy czasem do apteki po co nie pójść? Nie odpowiedziała nic. W nocy Rozalji, która nie spała i co moment w ciemności przychylała ucha w stronę łóżka matki, zdawało się, że słyszy stękanie tłumione w poduszkach. Nie śmiała jednak przemówić, ani światła zapalić, a gdy zrana obudziła się z krótkiej, ciężkiej drzemki, krzyknęła aż ze zdziwienia i zadowolenia zarazem. Matka jej, siedziała na brzegu łóżka, ubrana już zupełnie, w szalu, czepeczku wygarnirowanym, w okularach nawet, prosta jak zwykle i ze zwykłym, trochę tylko uroczystym wyrazem na twarzy.

— Jak mamie jest? czy mama nie czuje się cierpiącą?

— Nic mi nie jest. Czuję się, jak zwykle. Pobiegnijno, otwórz okiennice, a potem ogarnij się i idź do miasta. Kupisz mi i przyniesiesz liberkę listowego papieru, dziesięć kopert pocztowych, atramentu i piór... patrz tylko, żeby pióra były miękkie.

— Mamciu! na co mamci to wszystko? Nie odpowiedziała.

Kiedy Rozalja wróciła z miasta z żądanemi sprawunkami, znalazła matkę siedzącą na fotelu, z książką od nabożeństwa na kolanach i modlącą się żarliwie. Na widok córki uderzyła się parę razy w piersi, przeżegnała się i złożyła książkę.

— Róziu! chodź tu do mnie!

Przesunęła parę razy dłoń po włosach Rozalji, które dnia tego wcale wypomadowanemi nie były, i mówić zaczęła.

— Jesteśmy teraz bardzo biedne, ogołocone ze wszystkiego, ale broń cię Boże, abyś narzekać albo o *nim* źle mówić miała. Narzekać, jęczeć przed ludźmi i biedować nie wypada i byłoby dla nas z ubliżeniem, źle zaś o *nim* mówić, grzech. Jaki tam *on* jest, to jest, zawsze to... to... to... nasz, jednego z nami rodu i pochodzenia. Niechaj ten motłoch przeklęty nie ma tej satysfakcji, abyśmy jedni na drugich skargi wywodzili i źle mówili. Cóż Róziu, czy będziesz posłuszną woli mojej?

— Ja przecież zawsze, zawsze byłam mamie posłuszną, a o Stasiu nie mogłabym źle mówić, gdybym nawet chciała...

— To dobrze. Jesteś prawdziwem, dobrem mojem dzieckiem. A teraz powiem ci... że da Pan Bóg, nie zginiem! Wierzę w Opatrzność Boską i w dobre serca tych, z którymi całe życie moje przebyłam... z których koła wygnały mię okoliczności, ale którzy w biedzie ostatecznej nie opuszczą nas z pewnością. Dziś i jutro pisać będę listy i roześlę je... do marszałkowej Korzyckiej, do Odropolskiego, do Sanickich, tych co to z Sanowa nad Niemnem i do innych jeszcze... do innych, z którymi wiążą mię dawne stosunki i to... to... to wspomnienia. Stasia obwiniać nie będę, ale napiszę im, że chciałam jednego z nas podtrzymać, podeprzeć, z rąk motłochu uratować... Spełniałam święty obowiązek, niechże oni teraz, względem nas, spełniają swój...

— Spełnią, z pewnością! — z entuzjazmem zawołała Rozalja i gorącemi pocałunkami okryła ręce i kolana matki. Więcej niż kiedykolwiek, matka ta była »jedynem jej dobrem«.

Dnia tego nad wieczorem Żyrewiczowa, z cicha i nieśmiało weszła do mieszkania Łopotnickiej. Nietylko była ona cichą i nieśmiałą, ale też bardzo zmienioną. Przez jedną dobę postarzała o lat kilkanaście. Oczy miała ogniście czerwone, a twarz zbladłą i zmiętą. W mieszkaniu panowała cisza głęboka. Rozalja kończyła spiesznie jakąś robótkę. Łopotnicka siedząc przy stole pisała listy. Pisząc, nie pochylała się nad stołem ani na jedną linię. Siedziała prosto i sztywnie, rękę dość prędko posuwała po papierze, a w wyrazie twarzy jej nie tylko upokorzenia, ani rozrzewnienia nie było, ale owszem malowało się na niej zadowolenie z siebie i większa niż zwykle wyniosłość i duma.

Żyrewiczowa, na ziemi przy Rozalji przysiadła.

— Co to mama pisze? — szepnęła.

— Listy do obywateli, aby spełnili obowiązek swój względem nas tak, jak mama spełniła go względem Stasia. Spełnią pewnie i nie dadzą mamie nędzy przenosić.

— Najpewniej spełnią i nie dadzą nędzy przenosić! — odpowiedziała wdowa i żałośnie splatając ręce dodała: — Mój Boże! co to jest, z obywatelskiej rodziny pochodzić!

Potem, cichutko i pokornie zaczęła prosić Rozalji, aby dopomogła jej do sprzedania fortepianu.

— Ostatniego rubla, Brynia na mieście dziś rozmieniała i nie wiem doprawdy, co to z tego wszystkiego będzie? Tymczasem muszę, muszę sprzedać fortepian.

(Dokończenie nastąpi.)

KOŃ

(z „Esprit des bêtes“ A. Toussenela)

(Dokończenie).

W którym kraju w Europie koń rasowy odgrywa najświetniejszą rolę? w Anglji. Dla czego? Koń w Anglji panuje i rządzi, ponieważ Anglja jest cząstką jedyną na kuli ziemskiej, gdzie ucisk przybiera charakter w najwyższym stopniu odrażający i podburzający. Jeden tysiąc familji Normandów, dzierży tam wszystką ziemię, zajmuje wszystkie urzęda i pisze prawa zupełnie jak nazajutrz po Hastings?

W Anglji rasa zdobywców jest wszystkiem, reszta narodu niczem. Lord angielski szacuje swego konia w stosunku do nienawiści, jaką ma dla Irlandczyka lub Saxona rasy pośledniej, których zwyciężył na równi z ich trzodami.

Strzeż się więc obrazić, choćby jeden włos z grzywy szlachetnego bieguna Albionu, gdyż koń jest udziałem arystokratycznych lordów i ci lordowie ogłosili konia świętym i nietykalnym. Naprzykład: możesz sobie pozwolić uderzyć człowieka pięścią, prowadzić na targ swoją żonę z postronkiem na szyi, ciągnąć do kałuży nieszczęsną nierządnicę, córkę biednego wyrobnika, którą nędza popchnęła do hańby. Prawo Wielkiej Brytanii przebacza takie grzeszki. Dla rasy Normandów Albionu, naród angielski nigdy nie stanowił części ludzkości.

Wzajemnie naród angielski, który nie używa konia, jest nieskończenie dumny z filantropii swoich lordów, która rozciąga się nawet na domowe zwierzęta.... tak, jest dumny nawet z domowych zwierząt, ale nie z was, Saxony! Ten

głupi tłum jest wszędzie jednakowy, jednak głupota John Bulla przechodzi wszystkie, o sto łokci najmniej.

Nietykalność angielskiego konia, poucza więcej o instytucjach arystokracji angielskiej, aniżeli wszystkie dzieła Blackstona i Guizota. Prosty przegląd kształtów zwierzęcia, odkryje nam do głębi obyczaje, charakter sztuki i całą fyzjonomię narodu brytańskiego.

Koń arabski, jak go wytworzyły plemiona pustyni, był ślicznem stworzeniem, harmonijną całością gibkości, siły i lekkości, w rzędzie zgrabnych stworzeń następował po kobiecie i kotce. Łuki szyi i krzyżów jego, rywalizują z najpowabniejszemi kształtami kobiety — szyja była wygięta w formę łuku, aby jeździec mógł być panem absolutnym swego rumaka, i za pomocą uzdeczki powściągać jego buntownicze zamiary, za najmniejszem naciśnięciem zmuszając, by głowa zwierzęcia nachylała się do piersi. W tem położeniu wędzidło ciśnie na najczulszą część wargi zwierzęcia; dziecko mogłoby go prowadzić na jedwabnej nitce. Ten system elastycznych wygięć następujących po sobie i łączących się na całem ciele zwierzęcia, od wierzchołka głowy aż do ostatnich kończyn członków, miał na celu złagodzenie uderzeń, udzielających się jeźdźcowi i zamienienie ruchów galopu w przyjemne wahanie się. Było to tajemnica nieskończonej słodyczy jazdy na koniu arabskim, wynikającej z wzajemnego oddziaływania zgrabnego chodu i pewności w nogach.

Krajowiec brytański uczuł potrzebę ulepszenia tych kształtów i zbliżenia ich do idealnego typu, jaki jego gorąca wyobraźnia pieści (kąt prosty), typu, na którego wzorach uformował ruchy i kostium swoich kobiet. Anglik wydał wiele milionów i dwa wieki czasu pracy, by osiągnąć cudowny wynik, który nazywają: angielskim wyścigowcem. Dałbym wiele za to, gdybym mógł moim czytelnikom dać należyte pojęcie o tym chudym utworze, o wklęsłej szyi, koziej głowie, kończastych krzyżach, ozdobionym ogonem podobnym do szczurzego, na którym siedzi odrażający dżokej, należycie oddalony od siodła dla okazania wszystkich okropności i skutków jazdy.

Cud ten brytańskiego wydoskonalenia, który przypomina pracującym nad geometrją, niektóre powaby kwadratu hypotenusa, oddziaływa okropnie; pysk twardy, nogi niepewne. Dla tej ostatniej przyczyny, wolno mu tylko jeździć po równinie gładkiej i starannie wysypanej żwirem. Zwierzęta te pracują trzy lub cztery razy do roku, po kilka minut za każdym razem. Zresztą są do niczego, ani do polowania, ani do wojny, ani do wycieczek. Są to machiny do zakładania się i nic więcej.

Ten rodzaj biegunów wymaga odpowiedniej sobie rasy koniuszych. Za pomocą wyższych praktyk chemicznych, Anglik zdołał stworzyć dżokeya, rasę pośrednią pomiędzy Lapończykiem i małpą, którą tak nazwał z powodu wielkiego podobieństwa do tego ostatniego czworonoga.

Jak to wszystko jest piękne! nie prawdaż? Taki naród tandeciarzy, przyjaciel biblji, który przez miłość bliźniego sprzedaje mu wszędzie opium i broń na wojnę! Zobaczmy teraz ojczyznę francuską.

Francja pomimo swoich 55 miljonów hektarów ziemi, nie może nawet wyprodukować dość koni na mizerną potrzebę swojej kawalerji. Dość powiedzieć, że rycerskość, szlachta francuska, skończyły swój żywot. Rzeczywiście przywileje, pergaminy, prawa udzielne panów i inne świecidełka ludzkiej próżności, zostały spalone jednej wielkiej nocy, to jest 4. Sierpnia, i odtąd zamki krzyżackich wnuków sprzedane na licytacji, stały się własnością walecznych fabrykantów cukru. Nawet sami wnukowie krzyżowych rycerzów, sprzedali swoje herby na godła do sklepów żydowskich. Prawda, że jarzmo barbarzyńskich zdobywców skruszone, nie sądźcie jednak, by przez to mieszkaniec Galli został oswobodzonym.

Jeżeli bowiem terytorjum francuskie uchyla się od produkowania koni dla wojny, godła feodalnej szlachetczyzny, produkuje natomiast w wielkiej ilości konie pocztowe, godło kupieckiego feodalizmu, który zawsze zaczyna od zagrabienia monopolu transportu.

Francja znajduje się w rękach lichwiarzy, bankierów, monopolistów drogi publicznej, przeto jedyny koń, jaki tam może mieć szacunek i miłość, jest koń pociągowy. Tamten był piękniejszy, mogę to powiedzieć bez obawy, chociaż nie żałuję go. Kto też nas wybawi od konia pociągowego!

Jednem z najbardziej niepojętych głupstw rządów tego wieku, była pretensja wciągnięcia do jednego jarzma konstytucyjnego, dwóch narodów tak przeciwnych sobie z upodobania co do koni, jak narody francuski i wielko brytański. Nikt nie zdoła przyzwyczaić konia pociągowego do reguły, właściwej koniom cyrkowym. Co mi się zaś zdaje najnierozumniejszem, to myśl stworzenia izby wyższej, izby arystokratycznej i dziedzicznej w kraju, który nie jest w możności nawet na własną potrzebę dostarczyć koni dla wojska w czasie pokoju — w kraju, gdzie arystokracja nabywa się lub ginie na giełdzie.

Gdzie nie ma konia wojskowego, powtarzam raz jeszcze, tam nie ma arystokracji.

Nie dość było zapożyczyć od Anglików purytańskie kapelusze, wązkie ubrania, ich system konstytucyjny, ich brudne knajpy; Francja w paroksyzmie anglomanii, chciała posiąść ich konia wyściwego. W obecnej chwili, każde większe miasto francuskie zajmuje się budową ujeżdżalni i popieraniem industrji koni wyścigowych. Wszystkie fundusze przeznaczone budżetem w celu wspierania rolnictwa, obracane są na nagrody po kilka tysięcy franków dla nieszczęśliwych graczów, dla niegodziwych żydów, prawdziwych żydów, którzy przekupują dżokejów swoich przeciwników, i dzielą się z nimi daniną krajową! Taka bezrozumna rozrzutność jest w gruncie rzeczy bardzo loiczna w kraju, w którym ministerjum rolnictwa przez ostatnich dziesięć lat było powierzone fabrykantowi czarnych kaszmirowych spodni, który był zupełnie niezdolny na pierwszy rzut oka rozróżnić buraka od kalafiola.

Wzrastająca ciągle popularność wyścigów konnych, zniewoliła niektóre dzienniki paryskie do powiększenia składu swoich redaktorów o jednego więcej dla koni, który musiał być dobrze kutym w przedmiocie języka sportu, który w francuzkiem zowie się językiem stajennym.

Zauważam, że to hrabia d'Artois i książę Orleański, ojciec króla Ludwika Filipa najwięcej wpłynęli na wprowadzenie do Francji wyścigów konnych. Wiadomo, jakie korzyści osiągamy z każdej idei angielskiej. Królowanie starego Priama bardzo dawno upadło od czasu wprowadzenia obcego konia w mury Ilionu. Smutny i nowy dowód bezużyteczności nauczania historji.

Paryż jest zwierciadłem i ogniskiem Francji, stolica nadaje ton prowincji. Koń, który najpierwszą rolę odgrywa w Paryżu i w całem państwie, i który najwięcej o sobie każe mówić, jest koń pociągowy od wozów i omnibusów. Statystyka z przed roku 1848 poucza, że te pracowite czworonogi w Paryżu, okulawiały dziennie dwie osoby z ułamkiem, i że ludność ponosiła stratę miesięcznie dwóch ofiar z pomiędzy siebie. Nie jest to winą konia. W Paryżu, miejscu zbytków i szczęścia, żyje znaczna liczba indywiduów, nie mających innego zatrudnienia i sposobu do życia, jak rzucanie się pod koła wozu dla złamania sobie ręki lub nogi i pochwycenia wynagrodzenia, któreby zapewniło im kawałek chleba na resztę ich dni. Są tacy, którym się to udaje, inni chybiają, inni zaś przecinają się na pół i to bez gniewu!

Najniewinniejszy ze wszystkich koni, chociaż nie mniej poważany, jest koń fiakierski, rasa skromna, pochodząca z Bretanji lub Ardenne; nie przypomina on wojny dymiącemi nozdrzami. Jest on godłem skromnego pracownika, który starannie ukrywa kolce niedoli, który zmuszony jest spoczywać tam gdzie stoi, którego żadna osłona nie chroni przeciwko ostrej porze roku, i którego ze zmęczenia ciężka głowa nachyla się smutnie ku ziemi. Zaledwie, że kat, który go chłoszcze, dozwala mu zatrzymać się dla odpoczynku. Niestety! ten sam kat jest torturowany kolcami innego władzcy, jeszcze więcej nielitościwego, to jest przez konkurencję, ucywilizowaną Eumenidę, która niszczy litość w sercu fabrykanta i batogiem budzi dzieci w fabrykach angielskich.

Koń powozowy i koń od prostego wozu, opowiadają o różnych zmianach końskiej egzystencji, o nieprzewidzianych upadkach, o zaćmionej świetności.

Nie wiem zkąd pochodzi fałszywa gawęda, że Paryż jest piekłem dla koni, a rajem dla kobiet. Jeżeli kiedykolwiek dwa losy były sobie podobne, to z pewnością pięknej kobiety i pięknego konia w Paryżu. Bulwary i lasek Buloński, jest rajem dla obydwóch o tyle, o ile trwa ich piękność, zdrowie i młodość. Wóz ze śmieciami, prostytucja, publiczna pogarda, to ich piekło... i dwa te piękne stworzenia, które niebo obdarzyło wszystkiemi zasobami podobania się, fatalnie zbliżają się do jednego celu. — Montfaucon i szpital, znajdują się na jednej drodze.

To ognisko rozkoszy, ta przepaść majątków, nazwana Paryżem, pożera rocznie do 20 tysięcy koni, to jest przybliżoną cyfrę młodych dziewcząt, które biedne rodziny francuskie oddają każdego roku w daninie prostytucji paryzkiej.

Tak jest, koń francuzki stoi bardzo nizko, podobnie jak i szlachetczyzna. Potomkowie Alfane'a i Bayard'a ciągną wóz ze śmieciem, podczas gdy par francuski morduje swoją żonę lub mataczy o koncesję na kopalnię, a syn bohaterów sprzedaje imię swoich ojców. Gdzież podziały się olbrzymie dzieci Gallów, które niegdyś jednym rzutem przechodziły, śpiewając Alpy, Apeniny, Adrjatyk, Archipelagi, i które rzucały się na śmierć z taką samą odwagą, jakby szli na zwykłe polowanie.. Dla tej samej przyczyny zapytam się, co się stało z ich hardemi i strasznemi w boju końmi? z temi końmi, które według podania Guichardin'a i innych, były tak dzielne w ataku, zręczne w obronie, broniące swego jeźdźca! Niestety już

*

koń wojskowy, tak nie postępuje od czasu, gdy poziom dyscypliny zabił indywidualną jego odwagę i ambicję...

Koń francuski posiadał niegdyś to wszystko, co było potrzebnem do przypodobania się, to wszystko co Teutoni wymagali od skończonego konia: zgrabność i dumę kobiecą, wzrok przenikliwy, zimną krew i apetyt wilczy; ucho proste, ogon gruby i zwinność lisa. Jeżeli on i jego jeździec zaginęli, to dla tego, że ten ostatni nie umiał korzystać z tylu cennych przymiotów. Niechaj przynajmniej jego upadek będzie nauką na przyszłość dla jego rasy. *Discite justiciam moniti...*

Konie i szlachta! ostrzeżeni przez mściwy głos rewolucji, nauczcie się, że obowiązki indywidualne są w stosunku prostym do przymiotów, i że im więcej działać dla szczęścia bliźnich można, tem więcej działać się należy.

Pytano się mnie jednego razu, dla czego koń, który uwielbia czystość, mąci wodę za nim ją wypije i dla czego jego uszy prosto stojące w stanie oswojenia, obniżają się w stanie wolnym? całkiem przeciwnie, jak u psów.

Odpowiedź na te pytania jest łatwą; a najprzód koń nie mąci wody, on ją miesza.

Koń pochodzi z krajów rozpalonego piasku i oprócz tego uwielbia toaletę. Podwójna racja, by lubić zimne kąpiele; lecz ponieważ w tych krajach, wody są zbiegowiskiem krokodylów, pijawek i elektrycznych węgorzów, przeto koń uderza w wodę przed wejściem do niej, w celu odpędzenia tych gadów i szuka dna kopytem, dla przekonania się, czy jest ono odpowiedniem do tarzania się, wiadomo bowiem, że koń, który próbuje w ten sposób wodę, jest blizkim pławienia się w niej.

Co do drugiego pytania, odpowiedź wymaga studjum fizjologji ucha.

Ucho, jest to organ przeznaczony do objaśniania zwierzęcia, przez udzielanie mu odgłosu lub szmeru z przestrzeni, przeto kierunek ucha zwierzęcego powinien was objaśnić z pierwszego rzutu oka o jego obyczajach i charakterze.

Ucho zająca skierowane ku tyłowi, objaśnia, że biedne zwierze jest przeznaczone do ucieczki. Kierunek przewodu słuchowego znaczy, że organ ten jest przeznaczony dla objaśnienia uciekającego o liczbie i szybkości nieprzyjaciół ścigających go.

Jeżeli jednak ucho ściganego, kieruje się ku tyłowi, to przeciwnie ucho ścigającego, jak lisa, wilka, lub psa gończego, kieruje się odwrotnie. Psy myśliwskie, charty i owczarskie, które polują goniąc, mają uszy proste i przewód słuchowy skierowany naprzód.

Kuna, kot i lis, które potrzebują wiedzieć co się dzieje w gałęziach nad ich głowami, mają uszy szerokie, rozwinięte, ruchome i ukształtowane do przyjęcia najmniejszego szmeru z góry.

Koń w stanie dzikim nie ściga, lecz przechadza się; nie ma na sobie ludzkiego ciężaru i pasie się ze spuszczonym łbem. Przewody jego słuchowe w tym stanie są skierowane ku ziemi, która jest najlepszym przewodnikiem dźwięku, i która mu przesyła szmer kroków i głosy nieprzyjaciela.

Lecz skoro raz koń przyjął obowiązki towarzysza pracy i przygód człowieka, wtedy i inne powinności obciążają go z tego tytułu, i zmieniają jego szatę jako też wszystkie nawyknienia. Od czasu jak zmienił swego ducha jest zmuszony iść naprzód i pilnować swego jeźdźca podczas ciemnej nocy; prostuje więc uszy na podobieństwo charta, aby był w możności pochwycenia szmeru zbliżającego się od przodu.

Z podobnych względów wyżeł, zmuszony zarzucić zawód gonienia, stracił proste uszy i przybrał wyraz mumii.

Lecz na tej zasadzie powiecie mi, że wszystkie psy biegające za porządkiem, powinny nosić uszy prosto jak chart lub koń arabski...

— Bez wątpienia, i macie nieskończoną słuszność.

W IMIONNIKU

WIKTORA ZIENKOWICZA

improwizacja.

Czy we Lwowie — czy w Turynie,
Zawsześ Polak rodowity —
Po zacięciu i po minie
Znać Twój ród i Twe zaszczyty.
Znać szlachetną polską postać,
Znać żołnierza armii wielkiej:
Co to wrogom umie dostać
Do ostatniej krwi kropelki.
Więc gdy wracasz gdzieś za morze,
Bierz cześć młodych — co w pokłonie
Towarzyszy ci Wiktorze,
Ku dalekiej obcej stronie.

Lwów 3. grudnia 1881 r.

Wł. Bełza.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Zdawało się, że do nowego roku przesiedzimy sobe spokojnie w naszem miasteczku, chodząc na roraty i zajadając doskonałe tegoroczne śledzie, jako w czas adwentowy. Uroczystości weselne zostały zawieszone; kto miał zrobić jaką niedorzeczność, naprzykład ożenić się, to już zrobił; wszelka miłość odłożoną została na karnawał. — Cóż więc mogło przeszkodzić ogólnej drzemce do Nowego Roku? — Juźciż nie odczyty bo właśnie na tych daleko łżej się zasypia, niż na kazaniach parafialnych podczas upałów lipcowych. Aż tu naraz, wyłazi na scenę taka moc faktów irytujących, że goniący za nowinkami circumfatyganci nie mogą nastarczyć w roznoszeniu takowych po mieście. Najprzód ta nieszczęśliwa sprawa obrazu Unii jeszcze się wlecze, ciągnąc za sobą reklamacje i protesty, z któremi biedny Wydział krajowy na prawdę nie wie co zrobić. Na ścianie w sali sejmowej, nie ma odpowiedniej framugi, w sali radnej... ba, kiedy nie ma i sali radnej... Jest wprawdzie sala recepcyjna marszałka, ale ta podług opinji znawców, nie ma znów ściany, gdzieby się Unia dała zawiesić z dobrem oświetleniem. Powiadają, że przeszkadzają temu słupy, więc znowu pretensje, po co było stawiać gmach taki, żeby miał filary; słowem wszystko się robi na przekor narodowi, na przekor Matejce, na przekor Unii, marszałkowi i tylu znawcom artystycznym. Daremnie „Gazeta Lwowska“ i „Czas“ i sam p. Matejko tłumaczą publiczności, że w sali recepcyjnej marszałka, Unia będzie niezmiernie pożądaną, że tam częściej i lepiej będzie ją można oglądać, niż w sali sejmowej otwartej przez miesiąc w roku dla publiczności, wszystko to nic nie pomaga, sypią się reklamacje nawet Filipów z konopi, czy tam z Rozdoła. Każden co dał dziesięć centów składki, nawet ten co nie dał, ale zachęcał drugich, żeby dawali, rości sobie prawo dziś do dyspozycji, gdzie ma wisieć ta nieszczęśliwa Unia. Czyby to nie lepiej było pozostawić tę sprawę do uznania samego sejmu? Co do nas, to rozpatrzywszy się we framugach sali sejmowej, uważamy, że tam jest miejsce po za trybuną marszałkowską, nie na jeden, ale na trzy obrazy. W środku może być portret panującego, który na ten cel został już nadesłany, z jednej strony Unia, a z drugiej nowy obraz takiej samej wielkości, choćby naprzykład duplikat sejmu Grodzieńskiego i wszystkie pretensje dałyby się naraz pogodzić. Zresztą zawieszenie sejmu grodzieńskiego w sali, mogłoby skutecznie oddziaływać na umysł panów posłów jako przykład, gdzie to prowadzi gaszenie wszelkich uczuć narodowych w imię trzeźwej teraźniejszości. A gaszenie to w Krakowie idzie podobno bardzo porządnie. Kto nie wierzy niech przeczyta wyborną trawestację ody do młodości zamieszczoną w ostatnim numerze „Djabła krakowskiego“, a przekona się, że usiłowania trzeźwienia, wcale nie ustają. W Petersburgu nawet, komisja ustanowiona dla powstrzymania narodowego pijaństwa, dała mu już pokój, bo na tem tracą finanse państwowe, nasze zaś towarzystwo wstrzemięźliwości już na bankructwo patrjotyczne nie zważa.

W Wiedniu, na posiedzeniu Rady państwa w zeszłym tygodniu, pomimo chłodnych dni jesiennych było trochę za gorąco. Pan Żak i pan Prażak posprzeczali się trochę o tę nieszczęśliwą objektywkę, którą nas dosyć prażyli centraliści, kiedy byli przy władzy. Że pan minister sprawiedliwości oddaje im teraz piękne za nadobne, badzo rzecz słuszna i sprawiedliwa. Co tobie dziś, mnie jutro.. Przy całej tej aferze, zauważyliśmy tylko, iż czuć było brak doświadczonej i wprawnej ręki czcigodnego weterana parlamentu p. Smolki. Bez poprzedniej rozprawy zawotowano wybór sądu parlamentarnego, a to było trochę za prędko i nie w porządku.

Trzecią wiadomością, która sprawiła pewne podrażnięcie naszej miłości własnej, jest opinia, wygłoszona z wysokiego akademickiego trójnoga, że w Galicji od czasu zaprowadzenia języka polskiego jako wykładowego w szkołach, zniżyła się skala powszechnego wykształcenia. Naturalnie, że tak surowe i naiwne przyznanie się do winy nas samych, wywołało niezmierną radość w nieprzyjacielskim obozie, a nam jakto powiadają jakby kto dał w pa... Więc po tylu wysiłkach, nadziejach, składkach, garnięciu się do nauki, po objawach takiej wdzięczności, że nam pozwolono mówić, pisać i uczyć się po polsku — nie tylko nie poszliśmy naprzód, ale się cofnęli! — Ależ to przykre i nader przykre rozczarowanie; ależ to wstyd przed obcemi i przed samym sobą. Wprawdzie sekretarz Akademii krakowskiej w liście publicznym w Nowej Presie, stara się osłabić znaczenie tak surowo postawionej o naszem szkolnictwie opinii objaśniając, że przyczyną tego jest używanie do nauki podręczników tłumaczonych z niemieckiego, obcych naszemu duchowi narodowemu, lecz to wszystko nie umniejsza goryczy jaka się z tego powodu zakradła do serc naszych. Zresztą i obrona sama na bardzo wątłych spoczywa ar-

gumentach. Jeżeli winnemi mają być podręczniki wypowiadające myśl niemiecką po polsku, to przecież tak samo książek niemieckich używano wtenczas kiedy wykłady odbywały się po niemiecku, a to jakoś nie obniżało skali wykształcenia. Któż więc winien? — Chyba ludzie zajmujący się nauczaniem i system prowadzony przez Radę Szkolną. Może być, lecz jeżeli tak jest, to w pierwszym rzędzie powinna się w piersi uderzyć sama Akademia, ustanowiona właśnie dla podniesienia tej skali naukowej w kraju, której obowiązkiem jest stać dzień i noc przy tym termometrze zdrowia naukowego i mierzyć jego stopnie. Tymczasem widzimy, że z tamtych sfer właśnie obawiano się najbardziej gorączki i całemi siłami regulowano zawsze zapał, bez którego może się wytworzyć znośna miernota, tuzinkowi robotnicy wykonywający nawet i sumiennie i gładko swoje prace, ale nie iskry talentu. My sami to widzimy, że skala wykształcenia naszego wcale się nie podnosi, czego najlepszy dowód, że w ostatnich latach prócz na polu historycznem, nie podniósł się po nad zwykły poziom gładkiego frazesowania, ani jeden talent o szerszym zakroju. — Sam Uniwersytet krakowski, mający tylu znakomitych profesorów i miłośników literatury, czyż potrafił odszukać w ostatnich dziesięciu latach i wychodować choć jeden talent wybitniejszy wśród kilku tysiącznego zastępu wykształconej tam młodzieży? Zróbmy porównanie dawniejszych uniwersytetów w Wilnie, w Warszawie, liceum w Krzemieńcu, a nawet istniejącej lat kilka szkoły głównej, to musimy dostrzedz wielką różnicę na niekorzyść obecnej metody u nas praktykowanej. Może to wina młodzieży, która tak wyjątkowo rodzi się teraz nieudolną, a może też czego innego? Lecz, że kraj musi oceniać instytucje z owoców, a nie z dobrych chęci, to kto wie czy nie byłoby na czasie poszukać nie w polskim wykładzie, a gdzie indziej przyczyn tak skąpej produktywności talentów, i nie zmienić metody, która widocznie potrafi kształcić wybornych, ale niestety..... samych szeregowców.

PAN MINISTER

przez

JULIUSZA CLARETIE.

CZĘŚĆ PIERWSZA

(Ciąg dalszy.)

Dalsze słowa jego znikły w gwarze tego pierwszego salonu, pełnego już gości, podczas gdy Sabina wziąwszy pod rękę Marjannę, którą ustąpił jej Lissac, poprowadziła ją do innego obszerniejszego, ponsowo obitego salonu, w którym były szeregiem ustawione krzesła, a przed niemi dość znaczna pusta przestrzeń, tworząca dzięki szerokim fałdom firanek, pewien rodzaj sceny, na której prawdopodobnie wystąpić miał niecierpliwie oczekiwany amator-artysta.

Prawie wszystkie miejsca w tym salonie były już zajęte. W olśniewającym blasku świateł, jaśniały piękne twarzyczki kobiet. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na Marjannę, skoro tylko ukazała się na progu, co gdy zauważyła Sabina, spiesznie podprowadziła ją do jednego z próżnych krzeseł, tuż przy samej scenie, z której widocznie przemawiać miał pan de Rosas.

Pani Gerson zajęła miejsce obok Marjanny, która jasne swe oczy zwróciła na piękną przyjaciółkę pani domu, pragnąc odgadnąć jej myśli. Cóż mogło być łatwiejszego? Pani Gerson zachwycona była powodzeniem Sabiny! Powodzenie niesłychane! Pan minister Vaudrey przybył i to nie sam, ale nawet z żoną! Jest także i pan Collard (z Nantes), prezes ministrów! Oprócz nich, jest również i pan Pichereau, który bądź co bądź był także ministrem.

— To znaczy prawie trzech ministrów, z których jeden, jest prezesem gabinetu! Sabina szaleje z radości. Oh! kompletnie szaleje! Proszę sobie tylko wyobrazić: pani Hertzfild, współzawodniczka Sabiny, nie miewa nigdy naraz więcej jak dwóch ministrów w swoim salonie!

Dla większej ścisłości, dodawała jeszcze, szczebiocząc jak czeczotka, że salon pani Hertzfild niezmiernie upada. Najwyżej można wyjść z niego na podprefekta. I to nie zawsze! Tymczasem, z salonu pani Marsy, idzie się wprost do prefektury!

— A gdybyś pani wiedziała, jak miłym jest w towarzystwie pan Vaudrey!...

Marjanna słuchała jednem uchem tylko — myśli jej krążyły gdzieindziej, w oczekiwaniu chwili, kiedy na tej szczupłej woskowanej przestrzeni, ukaże się jej nareszcie pan de Rosas.

Guy odgadł prawdę: jedynie dla księcia de Rosas Marjanna pragnęła być wprowadzoną na salony pani Marsy. — Chciała odnowić znajomość, pomówić z nim... spróbować szczęścia może... Był to jej kaprys. Cóż w tem złego?

Marjanna czuła, że rozpoczyna grę stanowczą, hazardowną, o śmierć lub życie. Pana José de Rosas przypominała sobie bardzo dobrze; dawniej spotykała go dość często w towarzystwie Guya. Kastylijczyk paryzki, więcej Paryżanin aniżeli Hiszpan, władający zarówno dobrze wytwornym językiem salonów, jak gwarą uliczną i zakulisową, wielki miłośnik sztuk pięknych, w swobodnych chwilach bawiący się piórem, ale piszący tylko dla siebie; bogacz, hojnie sypiący złotem, przekonań liberalnych, w obejściu nadzwyczaj miły — był obok tych wszystkich przymiotów zapalonym podróżnikiem. W trzydziestym roku życia zwiedził już świat cały: poznał Indje i Japonię, pił mleko wielbłądzie pod namiotem Kirgiza i zajadał daktyle z Kabylami; a w dodatku umiał opowiadać z pewnym rodzajem porywającej ironii swoje przygody miłosne, które mogłyby uchodzić za improwizowane utwory rycersko romantycznej fantazji, gdyby nie ten właśnie odcień szyderstwa, nadający nieprawdopodobnym nawet epizodom, charakter rzeczywistych faktów. Jednem słowem, książę de Rosas był spóźnionem nieco typem bajronisty, który w zetknięciu z praktycznem życiem, wyleczył się z romantyzmu.

Pomiędzy wielu innemi wspomnieniami, szczególniej utkwiła w pamięci Marjanny wizyta, jaką w towarzystwie Lissaca złożyła księciu w mieszkaniu jego przy ulicy Laval. Zajmował on wówczas obszerną pracownię malarską, wybitą dywanami tureckiemi, pełną przeróżnych drobiazgów, broni wszystkich narodów i wieków, a urządzonej z tak szalonym zbytkiem, iż zdawać się mogło, że zgromadzono w niej skarby, pochodzące z rabunku jakiegoś karawanseraju. Rosas przyjmował w tym dniu gości swoich kawą, przyrządzoną na sposób turecki, przyczem palono jasny tytuń Wschodu, zręcznie porównywany przez uprzejmego Hiszpana z uperfumowanemi blond włosami panny Kajser, na co nawet znalazły się odpowiednie cytaty z perskich poetów.

Ileż to razy, wśród ciężkich strapień swoich w dniach opuszczenia, wspominała ona o tym pięknym chłopcu, o jego niebieskich, myślących oczach, o jego płowej brodzie, przyciętej na wzór Karola V-go. Lubiła go przedstawiać sobie takim, jakim go widziała po raz ostatni: siedzącego na indyjskim dywanie i wygrywającego na skrzypcach jakąś pieśń monotonną i powolną, jak miarowe posuwanie się karawany wśród piasków pustyni.

— Nieprawdaż — zwykł był mawiać Guy de Lissac — że przyjaciel mój, Rosas, jest zachwycający?

— Rzeczywiście, zachwycający!

— A jaki wykształcony! Erudyt bez pedanterji. I do tego posiada miliony; przymiot, który nigdy i nikomu nie szkodzi.

Ten ostatni przymiot wiele dawał do myślenia Marjannie: jakaż to potęga niezmierna, mieć możność zaspokojenia wszystkich swych pragnień, kaprysów i fantazji. A jednocześnie, poza mgłą wspomnień, ukazywał się jej nieco wyniosły uśmiech księcia, a jednak tak uprzejmy pomimo dwóch rzędów białych zębów, wyłaniających się jak groźna baterja z pośród brody i subtelnych wąsów...

Ale gdzież przebywa teraz ten książę? Pomiędzy Kabylami czy u Mormonów? W Taiti, w Grenlandji, czy u djabła? Kiedyś dzienniki wspomniały, że organizuje wyprawę do bieguna północnego. Kto wie, może zginął tam, na kawałku kry, ściśnięty olbrzymiemi lodowcami! Śmiała się sama z podobnych przypuszczeń, ale tuż za śmiechem następowało głębokie westchnienie, wywołane żalem, lecz żalem samolubnym.

Zdawało się jej także, że książę niejednokrotnie dawał jej do zrozumienia uczucia, jakiemi był dla niej przejęty. Grzecznie, ostrożnie, jak wypada przemawiać do kochanki swojego przyjaciela, ale z obojętnych na pozór słów jego nie trudno było domyślać się, co chciał poza niemi ukryć. Marjanna udawała wtenczas, że nic zgoła nie rozumie. Kochała jeszcze Guya, czy też zdawało się jej, że go kocha, co wychodzi na jedno. Poprzestawała więc tylko na przyjmowaniu uśmiechem nadskakiwania i umizgów pana Rosas.

— Może i głupstwo zrobiłam! — mówiła do siebie. — Ba! w takim razie i on nie był mądrzejszym odemnie. Obowiązki przyjaźni! Cień Guya stał nam na zawadzie!

Przerywała sobie w tem miejscu i z ust jej ulatywało imię: José... Józef!

Wpomnienia te jednak w gniew ją wprowadzały. Gniewała się sama na siebie, że postąpiła uczciwie, jak inne wyrzucają sobie popełnione błędy. Jak pierwsza matka Ewa, musiała często rozmyślać o utraconym raju, tak samo i ona bardzo często myślała o panu de Rosas... Gdyby była jego kochanką, cały Paryż by poruszyła, wywołała by ogólny podziw i zdumienie.

— Czyja wina, że nie przyszło do tego?... Jakie to głupstwo, kiedy człowiek nie ma dosyć odwagi!

I oto, niespodzianie, w stanowczej chwili jej życia, kaprys losu sprowadza do Paryża tego Józefa, o którym Marjanna nie zapomniała nigdy, a który może również przypominał ją sobie i któremu, na wszelki przypadek, wszędzie i zawsze

potrafi się przypomnieć. Przesądna, jak każdy stawiający wszystko na jedną kartę, wobec uśmiechu losu, dającego jej możność odegrania się, odzyskała wiarę w siebie i ufność w potęgę swych wdzięków.

Jakże wysoko można się podnieść z upadku, będąc wspartą na ramieniu księcia! Trzeba chcieć tylko.

Guya i Sabinę, spotkanych na swej drodze, uważała za dogodnych pomocników dla siebie: Lissac ułatwił jej wstęp do salonu pani Marsy, Sabina posłużyć miała w celu zbliżenia się z księciem. Lissacowi wprawdzie nie przebaczyła dotąd zarozumiałej buty, z jaką ją porzucił. Ale mniejsza o to! zanim się zemści, musi go wprzód zużytkować — zemsta, zresztą, nuży tylko, a korzyści nie przynosi żadnych.

Dzisiaj siostrzenica Kajsera, kochanka pana de Lissac, kobieta, przez pewien czas, złego prowadzenia, pomimo to przecież jaśniejąca dziewiczym urokiem swych rysów — z uśmiechem niewinności na ustach, a szalonym ogniem w oczach— Marjanna dziś o parę tylko kroków oddaloną była od tego, którym chciała zawładnąć, jak uwodziciel pragnący posiąść kobietę.

— Jeśli kochał mnie choć jedną minutę, jedną tylko — mówiła w duchu — musi pokochać mnie na nowo.

W saloniku tym duszono się z gorąca, ale Marjanna nie zważała na to, usiłując utrzymać się w pierwszym rzędzie, aby książę spostrzegł ją zaraz pierwszym rzutem oka.

Czuła, że z każdą chwilą coraz goręcsza otacza ją atmosfera; odzwyczajona od podobnych zebrań, na w pół omdlewająca, pytała się sama siebie, czy zdoła wytrwać do końca — nie poruszyła się jednak z miejsca, wpatrując się bacznie w drzwi przeciwległe, czy za tą ponsową portjerą, nie ujrzy bladego oblicza Hiszpana.

O kilka kroków od niej, otoczona licznem gronem, jakby królowa wśród dworzan, siedziała młoda kobieta, lat dwudziestu trzech lub czterech, prześliczna blondynka, w białej sukni, z różami świeżemi w popielatych włosach, rumieniąca się i jakby onieśmielona ze wszech stron skierowanemi na nią spojrzeniami — czarująca zarazem niewypowiedzianym wdziękiem szlachetności, malującej się w każdym jej ruchu, w każdym uśmiechu. O niej to pani Gerson szeptała do ucha sąsiadkom:

— To żona ministra!

— Pani Vaudrey?

— Tak jest; prawda, że bardzo miła kobieta?

— Do pozazdroszczenia! Jaka świeżutka!

A potem dodawano ciszej:

— Zanadto świeża!

— Parafianka!

Jakiś głos męzki odpowiadał pobłażliwie:

— Może to tylko brak śmiałości — ale za to ma własne włosy i naturalny rumieniec. To warte więcej!

Marjanna słyszała każde słowo, jakkolwiek rozmawiano pocichu. Wszystkie spojrzenia zaczęły zwolna zwracać się ku młodej kobiecie, opromienionej blaskiem wschodzącego słońca. Jako żona nowego ministra, z miłą swobodą, bez pozowania, dzieliła z nim tryumfy pierwszego występu. Nieśmiałym, prawie trwożliwym uśmiechem, zdawała się błagać inne kobiety o przebaczenie za świetność swojego powodzenia. Naprzeciw, grono mężczyzn otaczało dwie znakomitości, dla których tylko co przysunięto fotele, młodszy z tych dwóch panów, tchnący szczęściem i zadowoleniem, od czasu do czasu — jakby dla przekonania, czy się nie nudzi jego żona — spoglądał w stronę Adrjanny i Marjanny zarazem.

— Gdzież więc jest pan Vaudrey? — zapytała Marjanna pani Gerson.

— Jakto gdzie? Alboż go pani nie widzisz, tam naprzeciw po prawej ręce, obok pana Collard. Pożera panią oczyma.

— Ach! to ten? — odparła zimno Marjanna. I również podniosła oczy.

Szczerze mówiąc, wykwintna postać tego mężczyzny, od dłuższej chwili bacznie się jej przyglądającego, już poprzednio zwróciła jej uwagę. Ale zkąd się mogła domyśleć, że to właśnie był pan Vaudrey. Zresztą, powierzchowność miał bardzo ujmującą. Kiedy wchodząc do salonu, prowadzona przez Sabinę, przechodziła koło niego, usłyszała z jego ust kilka słów pochlebnych, które nader mile obiły się o jej uszy.

„Ach! więc to jest Vaudrey?“

Słyszała często rozmawiających o nim. Czytała niektóre jego mowy. Dość często nawet spotykała jego fotografie na wystawach w magazynach materjałów piśmiennych. Podobał się jej stanowczy wyraz jego twarzy, tak zgodny z potęgą wymowy jego. Powinna go była poznać od razu, gdyż zupełnie podobnym był do swoich fotografii.

Ze wszystkich spojrzeń wymierzonych na ministra, wzrok Marjanny zdawał się najbardziej pociągać Sulpicjusza. Chwilę przedtem nie mógł oprzeć się silnemu wrażeniu, jakie wywarła nań ta postać niewieścia, przesuwająca się śmiało wśród podwójnego szpaleru mężczyzn, szczegółowo rozbierających wdzięki tak jej, jak każdej przechodzącej kobiety. Przy swem zamiłowaniu analizy i skrupulatnych określeń, Vaudrey nigdy inaczej nie wyobrażał sobie prawdziwego typu Paryżanki, z jej tylko właściwym powabem, działającym natychmiastowo, przenikającym całą istność człowieka, jak woń subtelna.

Marjanna z uśmiechem, w którym przebijało się wzruszenie, patrzyła na niego i nie broniła spoglądać na siebie.

Nagle, jakby w silnym ataku gorączki, lica jej pokryły się rumieńcem, bo właśnie w tej chwili, wśród ogólnego zaciekawienia, ukazał się cokolwiek zmięszany, pan Rosas, w towarzystwie pani Marsy, wprowadzającej go na tę szczupłą scenę, jakby dla przedstawienia publiczności.

— Jest, nareszcie!

— Wszak to książę de Rosas?

— On, on!

— Zachwycający!

Nazwisko to, półgłosem zaledwie powtarzane przez usta kobiet, brzmiało jak najpiękniejsza melodja w uszach Marjanny. Wmawiała w siebie, że w życiu jej stanowcza wybiła godzina i na podobieństwo graczów hazardowych, stała się naraz przesądną. Zobaczywszy księcia, pomyślała sobie, że jeżeli i on spostrzeże ją od pierwszego rzutu oka, będzie to znak, że nie zapomniał o niej, że zatem może się wszystkiego spodziewać. Wszystkiego! Na szczęście — myślała — mężczyźni nie zapominają tak łatwo jak kobiety. Jedni, jak Guy naprzykład, przez egoizm lub żal za przeszłością, chętnie odszukują śladów swej młodości w naszych rysach — inni, mają sobie do wyrzucenia niekorzystanie z nadarzonej przyjaznej sposobności, sentymentalny zaś książę niezawodnie do tej drugiej kategorji należeć musi.

Powiedziała sobie, że książę koniecznie, bądź co bądź, musi ją spostrzedz; i przechylona nieco naprzód, z głową podpartą na prawej ręce, kiedy lewą poruszała wachlarzem, z gracją rodowitej Hiszpanki, wzrok swój, przepełniony całą potęgą silnej woli, zwróciła na księcia. Oko ludzkie posiada własności magnesu. Książę też jakby odczuwał to spojrzenie, ciążące na jego twarzy, kiedy, złożywszy całemu towarzystwu ceremonialny ukłon, podniósł oczy, aby spojrzeć na to audytorjum, złożone z pięknych kobiet, a przygotowane dlań przez Sabinę, spostrzegł natychmiast milczącą i nieruchomie przypatrującą mu się Marjannę, jak gdyby oprócz niej, nikogo więcej w salonie nie było.

Blade, regularne rysy książącego prelegenta, tem bledsze jeszcze przy białym krawacie i szeroko wyłożonym gorsie koszuli, odznaczały się na ponsowem tle firanki, niby portret Kastylijczyka z czasów Filipa II, w stroju nowoczesnym, w którym się jeden tylko jaskrawy punkcik odbijał, czerwona wstążeczka przy guziku fraka. Pomimo wszakże modnego kroju swego, czarny frak na ramionach tego mężczyzny, smutnego i zatopionego w myślach, o niebieskiem oku i z podkręconemi wąsami, wyglądał raczej jak spencer średniowieczny, przyczem wstążeczka legii honorowej przypominała miniaturowy krzyż Kalatrawy, zawieszony na aksamitnym płaszczu.

Melancholijne oblicze Hiszpana, zapatrzonego w płomieniejącym wzroku Marjanny, przelotny rozjaśniał uśmiech i znikł niebawem, zastąpiony pełnem szacunku schyleniem głowy; trwał jednak dość długo, aby młodą kobietę pogrążyć niejako w czarownej, palącej atmosferze.

— Poznał mnie!.. odrazu!... Więc nie zapomniał jeszcze!...

I w poczuciu odniesionego zwycięztwa, blada zwykle jej twarz zajaśniała promienną radością. Wzniosłszy dumnie głowę, wyzywające naokoło rzucając spojrzenia, z upojeniem, jakby każde słowo tchnęło rozkoszną wonią Wschodu, słuchała opowiadania rozpoczętego przez księcia, głosem równym, łagodnym, przejmującym, a który zwolna wzmacniał się i ożywiał.

W głębokiem milczeniu słuchano pana de Rosas. Ciszę przerywał tylko nieustanny szelest wachlarzów, podobny do szumu skrzydeł. Książe, bez żadnej przesady, jakby nie do całego zebrania, ale do samej tylko przemawiał Marjanny, z intonacją raczej włoską aniżeli hiszpańską, tak była melodyjną i śpiewną, kreślił wrażenia swoje z nad brzegów Nilu, posępne karawany, noce spędzane pod sklepieniem gwiaździstego nieba, śpiewy przewodników, monotonne jak modlitwy, melancholiczny urok pustyni lub owiane duchem poezji odwieczne ruiny, zasypiające w czerwonym piasku.

Niekiedy cytował w przekładzie jakąś pieśń arabską, pochwyconą w podróży, jakąś piosnkę, wykończoną artystycznie jak sonet, głęboką jak nieskończoność; a w piosnce tej, nieśmiertelne słowa miłości, zarówno we wszystkich językach miłe i wzruszające, nabierały siły prawdziwej poezji, nacechowanej tęsknotą właściwą ludom semickim. Treścią takich pieśni, to uczucia nieznanych, przed wiekami zmarłych kochanków, jakby siejących wśród piasków pustyni radości

swe i cierpienia, opiewających barwę włosów i kolor oczu swej ukochanej, błagających jej cienia o szczyptę wzajemności, ofiarując ze swej strony tym utworom bujnej fantazji różowe sukienki i nigdy nie więdnące kwiaty.

Co dodawało szczególniejszego, nieokreślonego jakiegoś uroku opowieści, to ta wyjątkowa okoliczność, że przekłady Kastylijczyka, jeszcze nawet w francuzkim języku, zachowały właściwe piętno poezyj wschodnich, w których Arabowie oddawali życie dla dziewic Nazaretu, synowie Mahometa poświęcali się dla córek Aissy *). Zawsze bowiem, nieuchronnie, przedmiotem tych smętnych, przytaczanych przez niego pieśni, była miłość, miłość nieszczęśliwa, zabójcza, rozpoczynająca się udręczeniem serca, a kończąca rozpaczliwemi jękami nieznanych dziś nikomu Arabów, od lat niepamiętnych zagrzebanych w piasku.

Książę z pewną lubością zdawał się większą przywiązywać wagę do tych pieśni miłosnych, aniżeli do wspomnień z podróży. W ten sposób, wobec porywającego namiętną obrazowością uczuć spadku duchowego, przekazanego przez dawniejszą cywilizację pokoleniom późniejszym, osobistość jego jak i własne wrażenia dobrowolnie na dalszy plan się usuwały. Marjanna drżała z radości, oddając się rozkosznemu złudzeniu, że Rosas wyłącznie tylko dla niej i do niej przemawiał. Czyliż nie tak samo rozmawiał z nią niegdyś w swojem mieszkaniu, w obecności Lissaca, siedząc na sofce jak pieśniarz arabski?

Czuła się odmłodzoną o całą przestrzeń tych lat ubiegłych. Znikł salon pani Sabiny Marsy. Marjanna znalazła się znowu w pracowni artystycznej przy ulicy Laval. Rosas patrzył w jej oczy, szeptał do ucha słodkie słówka, pozwalał odgadywać swą miłość bez względu na obecność Guya.

Obecność Guya? Cóż ją jakiś tam Guy mógł obchodzić. Ona troszczyła się tylko o pana de Rosas. Teraz, tylko książę jeden istniał dla niej na świecie. Alboż ten Guy był kiedykolwiek, choćby na jedną sekundę wplątany w tkankę jej życia? Nigdy! A wśród tych myśli i marzeń, płomienny wzrok jej ogarniał całą postać księcia de Rosas

Z drugiej strony, Sulpicjusz, na którego nie patrzyła wcale, nie spuszczał oka z panny Kajser. Znajdował ją zachwycającą. Prąd magnetyczny, płynący z oczu Marjanny, nie dozwalał mu słuchać opowiadania pana de Rosas; minister całą swoją uwagę skoncentrował na tej ponętnej kobiecie i rozumie się, nie mógł nie porównać jej ze swoją żoną, prawie tuż obok niej siedzącą.

Adrjanna piękną była, o wiele piękniejszą blondynką od rudowłosej prawie Marjanny, ale rzecz dziwna! nigdy jeszcze nie wydała mu się ona tak zimną, jak owego wieczoru, gdy nieporuszona patrzyła wprost przed siebie, z wiecznym swoim bojaźliwym uśmiechem na ustach.

Sulpicjuszowi sprawiał cokolwiek przykrości ten brak życia w Adrjannie, tem więcej uderzający, przy swobodzie zupełnej i wdzięcznem ułożeniu tak bliskiej jej sąsiadki, wrażliwej aż do zaniepokojenia, a powabnej pomimo matowej swej bladości i ust o niezwykłym zakroju, zaciśniętych jakby w nieustannem wyzwaniu do walki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Aissa, trzecia żona Mahometa.

PISMIENNICTWO.

Johann III. König von Polen, Sobieski, in Wien. Mit Hineinverwebung einer Geschichte der sieben Königinen von Polen aus dem Hause Oesterreich. Ein Erinnerungsbuch an 1683 für 1883 zum 200 jährigen Jubileum der Befreiung Wiens von der Türkenbelagerung.

Ocenił L. Tatomir.

Tytuł w tak wysokim stopniu rozciekawiający i to na książce niemieckiej, wydanej w księgarni uniwersyteckiej Braumüllera we Wiedniu, zwrócić musi uwagę każdego, komu nieobojętne są historja i literatura ojczysta, a niejednego narazić może nawet na wydatek, którego niewątpliwie żałować będzie, jak tylko kilka kartek rozetnie i przeczyta. Książka ta bowiem, której autorem jest wiel. Jerzy Rieder, proboszcz am Rennweg, jest prawdziwem *curiosum* literackiem i nie wiedzieć, co w niej więcej podziwiać, czy chaotyczność w układzie treści, czy najgrubszą nieznajomość faktów tak z historji polskiej, jak i powszechnej, czy cudackie przekręcanie własnych imion polskich, czy nakoniec naiwność uwag i wniosków, które czasem do takiej potęgują się komiczności, że gdyby nie styl arcypoważny, choć wcale niepoczytny — możnaby myśleć, że jakiś jowialny autor pisał je nie na serjo, lecz jako wybryki dobrego humoru.

Już przedmowa nie obiecuje wiele ani dobrego, ani nowego; nie zapowiada jednak przecież takiej sieczki, jaką zasypuje czytelnika sama książka. Autor zapowiada nam bowiem z całą prostodusznością, że nie zajrzał do żadnego archiwum, do żadnej wielkiej publicznej biblioteki, że nie miał pod ręką żadnych rękopiśmiennych źródeł — lecz korzystał jedynie ze swojej własnej biblioteki. Chociaż ta biblioteka jego — jak nas nie bez pewnej dumy zapewnia — jest bardzo liczna, i chociaż przez „niebaczność zecera,“ (widać, że korekta nie musiała być szczególnie staranna), wiele przywiedzonych w jego pracy z tejże biblioteki dzieł nie zostało zacytowanych — toć jednak już z tego ograniczenia się szanownego autora do jego własnej biblioteki, wnosić można z góry, że dzieło monograficzne historycznej treści o 25 arkuszach bitego druku, nie opierające się na żadnych, a żadnych źródłowych studjach, wymaganiom dzisiejszej krytyki historycznej odpowiedzieć nie może. Treść sama przekonywa nas jednak, że ta własna biblioteka autora, jakkolwiek liczna, albo musi być bardzo niedobrana, albo że z niej autor nie umiał zrobić należytego użytku.

Ks. Rieder powiada w przedmowie, „że ze *swoich wielu, wielu* książek zrobił nową książkę.“ Ale jak ją zrobił?! — Oto z tych swoich wielu, wielu książek powypisywał najrozmaitsze rzeczy, jakby na chybi trafi, powiązał potem ze sobą fakta i postacie, które wcale ze sobą się nie wiążą, utworzył z tego niby jakąś *silva rerum* z różnych wieków i krajów, a dla tem większej rozmaitości upstrzył ją mnóstwem elementarnych błędów, których przy odpisywaniu ustrzedz się było trudno, a w końcu uwieńczył jeszcze sporą wiązanką najzabawniejszych uwag i dodatków własnych, często tak naiwnie dowcipnych, żeby je „Floh“ lub „Bombe“ poczytać mogły za ozdobę swoich kolumn.

Wyznajemy otwarcie, że nie mieliśmy cierpliwości przeczytać całej książki, chociaż niektóre jej ustępy wywierały na nas takie wrażenie, jak najhumorystyczniejsza powieść. Dobiliśmy się zaledwie do połowy; ale możemy najsumienniej zaręczyć, że nie potrzeba i tyle czytać, aby wyrobić sobie o całem dziele bardzo jasny i słuszny sąd. Nie wątpimy też, że i czytelnicy nasi, będą zupełnie zadowoleni, gdy im tutaj zdamy sprawę tylko z kilku pierwszych rozdziałów, i pewnie nie będą mieli żalu do nas, żeśmy im oszczędzili czytania rozbioru dalszych aż do ostatniego.

Przystępując od razu do rzeczy, rozpoczyna autor pierwszy rozdział podaniem roku urodzenia Jana III. O dniu urodzin jego, chociaż Rubinkowski wyraźnie go wymienia, nie wie. Mówi następnie krótko o rodzicach Jana, wspomina o Janie Daniłłowiczu, którego — dając nam pierwszą próbkę swojej erudycji — nazywa wojewodą trockim, i schodzi aż do Stanisława Żółkiewskiego. Tu wpłata niedołężny opis bitwy ostatniej wielkiego hetmana, o której nie wie, że była pod Cecorą, ale za to poucza nas — dając drugi dowód gruntownej znajomości dziejów Polski — że Żółkiewski miał dwóch synów i że jeden z tych zginął w tejże bitwie, co ojciec, drugi później w jakiejś innej bitwie z Tatarami. Wraca dalej do dziada Jana III, Marka Sobieskiego, a potem znowu do ojca Jakóba, którego teraz (na 3 stronicy) żeni z Teofilą Żółkiewską, chociaż na 1szej stronicy ożenił go już z Daniłłowiczówną, i robi tak matkę Marka i Jana Sobieskich córką hetm. Żółkiewskiego, przez którą, jak twierdzi, przyszli Sobiescy w posiadanie dóbr Żółkiewskich.

Następnie otrzymujemy bardzo króciuchną wzmiankę o wychowaniu, naukach i podróżach obu braci, aż do powrotu ich do ojczyzny po śmierci ojca i po bitwie pod Pilawcami, które ks. Rieder nazywa *Pisawiecz.*

Na tem urywa się opowiadanie o Sobieskich i czytelnik żegna się z nimi na długo, bo autor postanawia sobie teraz ni stąd, ni z owąd opowiedzieć mu historję owych zapowiedzianych na tytule siedmiu królowych polskich z domu austrjackiego, a w dodatku do tego jeszcze i tych arcyksiążąt, którzy chcieli być królami polskimi, ale im się nie udało.

Od Jana Sobieskiego robimy tedy olbrzymi skok wstecz i stajemy nagle przy Zygm. Auguście, aby coś usłyszeć o jego pierwszej żonie *Elżbiecie,* córce ces. Ferdynanda I. Ks. Rieder raczy nas tu wyjątkami z układów przedślubnych, a w końcu powiada nam, że ta pierwsza żona Zygmunta Augusta, którą teraz już dla odmiany *Anną* nazywa, nie była z nim szczęśliwa, gdyż *królowa wdowa* Bona jej nienawidziła; Bona była więc według ks. R. wdową już na pięć lat przed śmiercią swego męża, Zygmunta I.! Przy tej sposobności robi autor głęboką uwagę historjozoficzną, że Elżbieta nie była właściwie królową, bo umarła przed śmiercią Zygmunta Starego, zapewnia nas jednak, że gdyby była dłużej żyła, byłaby nią niezawodnie została!“

Zapominając na chwilę o księżniczkach austrjackich, daje nam dalej ks. Rieder, kilka urywkowych wiadomości o Zygmuncie I., potem mówi o Barbarze, a nareszcie przechodzi do trzeciej żony Augusta Katarzyny i rozpowiada różne rzeczy o niej aż do rozłączenia się jej z mężem. Od Katarzyny wraca znowu do Barbary, a od tej do Ferdynanda I. i do spisu jego licznego potomstwa, który kończy, ni przypiął ni przyłatał, życiorysem Comendoniego. Przypominając sobie potem znowu Augusta, powiada, że

wróżka przepowiedziała mu śmierć, a to przywodzi mu na myśl Gustawa Adolfa, któremu Seni przepowiedział śmierć, co nastręcza mu sposobność do napisania sześciu stron o Gustawie i o Wallensteinie. W końcu spostrzega przecie, że trochę za daleko odbiegł od właściwego przedmiotu, i czuje potrzebę usprawiedliwić się przed czytelnikiem tę dygresję. W służbie Wallensteina był Polak *Wengersky* i dlatego to Polaka, którego prawie tylko nazwisko wymienia, wsunął ten długi epizod z wojny 30-letniej!

Wracamy znowu do Zygm. Aug., którego autor na str. 22 nazywa Zygm. III, chociaż dotąd pisał go IIgim, i dowiadujemy się, że na nim wygasł ród Jagiellonów. Po jego śmierci pomiędzy innymi kandydatami starał się o koronę arcyks. Ernest, „*dlatego* — cytujemy dosłownie autora — musimy naprzód opowiedzieć o księciu Wilhelmie austrjackim, który był zaręczony z Jadwigą, córką króla węgierskiego i polskiego Ludwika I., a przecież ani żony, ani korony polskie! nie otrzymał."

W jakim związku loicznym zostaje Wilhelm z Ernestem, dlaczego opisanie zabiegów Ernesta o koronę polską *musi* poprzedzić opis zabiegów Wilhelma o rękę Jadwigi — to tylko chyba sam ks. Rieder mógłby wytłumaczyć, ale nie tłumaczy, tylko pisze jednym tchem dwanaście stronnic o Wilhelmie, Jadwidze, Jagielle, Rudolfie IV, potem o elekcji Henryka Walezjusza, co znowu daje mu sposobność do rzucenia nam także jakichś okrawków z historji francuskiej, i kończy nareszcie ten rozdział pierwszy historji Sobieskiego zamordowaniem Henryka III. we Francji i uwagą, że „chociaż to (zamordowanie Henryka III.) do dziejów Polski nie należy, to jednak zostało tutaj opowiedziane, aby pokazać, że w Polsce nie byłoby mu się to z pewnością przydarzyło." Klasyczna logika!

Drugi rozdział rozpoczyna rozdwojona elekcja Maksymiljana II. i Stefana Batorego, którego według ks. R. koronował biskup *Kornokowski*. Napisawszy kilkanaście wierszy o Batorym, w których nie wspomina ani słowem o jego znaczeniu historycznem, przechodzi ks. R. do Zygmunta III. i opowiada przedewszystkiem o jego ożenieniu z Anną austrjacką, a następnie z siostrą jej Konstancją. Konstancja, żona Zygm. III, przypomina na jakąś inną Konstancją, żonę Henryka Dostojnego, margrabiego mysznieńskiego, która zmarła już w r. 1245 — dlaczego, na co, po co, trudno odgadnąć — dosyć, że sobie ją przypomniał i kontent z tego przypomnienia, pisze, dalej o tej Konstancji, która mu tamtą dawniejszą przypomniała. Powiada nam na stronie 38, że koronowana była dnia 12. grudnia 1605, a na stronie 39, wspomniawszy po drodze o pięciu jej siostrach, donosi z właściwą sobie ścisłością historyczną, że taż koronacja jej dokonana była d. 4 grudnia przez bisk. krak. Bernarda *Majcejowics*. Przy tej sposobności dowiadujemy się o tem, że Zygm. III. utracił tron szwedzki w r. 1604 i że Piekarski, który u ks. R. nazywa się *Polkowski*, palnął go czekanem w głowę, ale Zygm. prosił senatu, aby go nie karano, gdyż jest oczywiście obłąkany. „Z tego zachowania się króla — cytujemy znowu dosłownie autora — możemy wnosić, że pożycie małżeńskie jego z Konstancją było szczęśliwe i pełne miłości, co też istotnie miało miejsce." Założylibyśmy się o konia z rzędem i o sto dukatów jeszcze w dodatku, że takiego wniosku z tej premisy niktby pewnie nie wysnuł, i też zdaje nam się, że ocenianie takich wniosków nie należy do krytyki literackiej, lecz do psychiatrji.

(Dokończenie nastąpi.)

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Oracz Izydor*. Król reporterów. Operetka w pięciu aktach oryginalnie napisana. Muzyka Sonnefelsa. 80 ct.

— *Schmidt Mieczysław*. Biała gołąbka. Dramat w czterech aktach. 8-ka, str. 98. Lwów 1881. 60 ct.

— *Sierociński Teodozy*. Gramatyka polska. Wydanie dwudzieste trzecie. 8-ka, str. 48. Warszawa 1881. 20 ct.

— *Smoleński M. ks.* Obowiązki chrześcianina względem Boga. 8-ka, str. 363. Tarnów 1881. 75 ct.

— *Smolka Stanisław*. Wycieczka do Węgier. 8-ka, str. 131. Lwów 1882. 1 złr. 12 ct.

— *Święcicki Julian Adolf*. Don Pedro Calderon de la Barca. Studjum literackie. 8-ka, str. 61. Warszawa 1881. 1 złr. 20 ct.

— *Syrokomla W.* Hrabia na Wątorach. Krotochwila z XVI wieku (Bibljoteki Mrówki tomik 141). 16-ka, str. 64. Lwów 1881. 20 ct.

— *Syrokomla W.* Kasper Karliński. Dramat historyczny w 3 aktach (Bibljoteki Mrówki tomik 140). 16-ka, str. 63. Lwów 1881. 20 ct.

— *Syrokomla W.* Kęs chleba. Gawęda z pól Nadniemeńskich. (Bibl. Mrówki tomik 19). 16 ka, str. 43. Lwów 1881. 20 ct.

— *Syrokomla W.* Nocleg hetmański. Gawęda na tle historycznem. (Bibl. Mrówki tomik 138) Lwów 1881. 20 ct.

— *Syrokomla W.* Starosta Kopanicki, więzień w Sonnenburgu. (Bibl. Mrówki, tomik 139). 16. str. 74. Lwów 1881. 20 ct.

— *Szujski Józef*. Opowiadania i rozstrząsania historyczne, pisane w latach 1875—1880. 8-ka, str. 314. Kraków 1882. 4 ct.

— *Turczyński Julian*. Mojmir. Dramat konkursowy w pięciu aktach a dziewięciu odsłonach, jedyną nagrodą uwieńczony. 8-ka, str. 125. Lwów 1882. 80 ct.

— *Zalewski A. dr.* Nauka o wyznacznikach z zastosowaniami, wyłożone w sposób przystępny dla uczniów uniwersytetów, szkół politechnicznych i innych zakładów wyższych. Wydanie drugie. 8-ka, str. 191. Kraków 1881. 1 złr. 50 ct.

— *Zaremba*. Historja powszechna dla młodego wieku. Opowiedziana według najnowszych źródeł, tomik I Egipt i Państwo Assyryjsko-Babilońskie. 8-ka, str. 148. Warszawa 1881. 45 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** *Nowiny*, dziennik polityczny, z wybitną dążnością postępową wychodzący w Warszawie, przeszedł pod redakcję pp. Filipa Sulimierskiego, redaktora *Wędrowca* i wydawcy *Słownika geograficznego* i Jana Finkelhausa znakomitego podróżnika, autora *Podróży po Norwegji* i innych dzieł. Objęcie redakcji przez ludzi tak utalentowanych i ożywionych najlepszemi chęciami dla kraju, powitała liberalna prasa warszawska z radością i my też do niej się przyłączamy.

*** W Wiedniu od dnia 1-go października zaczęło wychodzić czasopismo perjodyczne „Swiat illustrowany."

Dotąd wyszło już pięć poszytów, na których zawartość składają się powiastki tłumaczone z niemieckiego i czeskiego.

W końcu każdego poszytu znajduje się humorystyka, opatrzona rysunkami, także zapożyczona z pism niemieckich, skutkiem tego dla nas bez żadnej wartości.

Ani wyboru powieści, ani przekładów nie uważamy za szczęśliwe.

Brak treści literackiej, oraz wszelkiego poważniejszego materjału pozbawia publikację wiedeńską szerszego znaczenia.

Forma, zwłaszcza język, okropne!

*** W Warszawie ukazał się w druku tom IX „Źródeł Dziejowych", obejmujący Księgi Podskarbińskie z czasów Stefana Batorego.

W ten sposób cenna edycja prof. Pawińskiego dobiegła swojego cyklu

Obecnie rozpocznie się druga serja tego wydawnictwa, której cztery tomy już wydrukowane, jedynie oczekują na indeksa.

*** Liczbę dobrych powiastek ludowych powiększyły świeżo obecnie wydane dwie powiastki Lusławy: „Podzielona osada czyli skutki rządności i niedbalstwa", i „Straszne skutki zaniedbanego wychowania."

*** W Krakowie wyszła z druku broszurka, napisana przez J. L. p. t. „Dawna Milicja Krakowska".

*** P. Leopold Świderski, autor „Biednych" i „Ojcowizny", wykończył nową dwuaktową sztukę, przeznaczoną dla Teatru amatorskiego Towarzystwa dobroczynności w Warszawie.

Jest to obraz sceniczny pod tytułem: „Nieoględni" z życia urzędniczego i odznacząć się ma świetnością pomysłu i wybitną charakterystyką figur.

*** P. Antoni Zaleski, b. współredaktor „Echa" i Henryk Sienkiewicz, poczynili starania o uzyskanie pozwolenia na wydawnictwo codziennego pisma w Warszawie p. t. „Słowo".

*** W londyńskiem „Atheneum" spotykamy historyczne studjum o Polinezji, z którego podajemy parę zdań, dla wykazania trudności lingwistycznych, z jakiemi jest połączone czytanie tej rozprawy.

„Lono miał z swoją drugą żoną Kaikilanimaipano dwóch synów: jeden zwał się Keawehanauikawalu, drugi zaś Kaihikapumahana.

Pierwszy był małżonkiem Akahikameenoa, córki Akahiilikapu i Kahakumakalina i t. d."

Studjum to można zalecić do czytania jąkającym się.

Z Drukarni „Gazety Narodowej"

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.